

# Trzydzieści koszul

Mężczyzna w kapeluszu z małą dziewczynką. Trzyma ją za rączkę. Podwinięte rękawy białej, może błękitnej, koszuli, szerokie nogawki spodni nadmuchane przez wiatr. Za nimi, w tle, kadłub wojennego okrętu „Burza”. Hanka pamięta tę wycieczkę. Z zakładu pracy, z cegielni. Mogły jechać dwie osoby, ojciec zabrał ją. Odwraca stary, brzegami pożółkły kartonik. „Gdynia, lipiec 1962 rok”. Rozpoznaje zamaszyste pismo. Pierwsza Komunia. Ona w środku, rodzice po bokach. Za nimi olbrzymie krzaki bzu na przykościelnym podwórzcu. Piaszczysty, spokojnie schodzący do wody brzeg rzeki. Kilkoro dzieci na przybrzeżnej płyciźnie. Z trudem rozpoznaje w tych małych, drobniutkich dziewczynkach swoje koleżanki. Wraca do zdjęcia z Gdyni. Czuje do niego jakiś niewytłumaczalny sentyment. Jego kopia w antyramie wisi w jej sypialni. Przygląda się. Kosmyk zaczesanych do góry falujących włosów wiatr zwiął na czoło. Żyłaste, ogorzałe od słońca, silne przedramiona. Chwytały ją pod pachy i wyrzucały w górę. Piszcząca ze strachu, potem chciała jeszcze. Hanka wyciąga garść czarno-białych zdjęć z drewnianej szkatułki; przerzuca je, wyłuskuje to z koniem. Okazały, na wysokich nogach kasztan, z białą fatą wzdłuż łba. Ojciec stoi przy nim, trzymając go za kantar. Ona siedzi na wierzchu. Drobne dłonie wbite w jasną grzywę. W kadrze, z lewej strony, zmieściła się jeszcze połowa betonowego kręgu studni na korbę. Ocynkowane wiadro. Wpatruje się w drobną twarzyczkę. Tak, z pewnością się bała.

Hanka ogląda stare fotografie i patrzy na deszcz. Przez uchylone okno wpływa wilgotne powietrze, wypełnia salon. Zawsze była i jest pomiędzy. Małym domkiem ze starej czerwonej cegły a okazałym, z przestronnymi wnętrzami, murowanicy. Tamtą wsią nad graniczną rzeką a swoim miastem, może nie przygranicznym, ale nieopodal granicy. W domu cisza. Jerzy śpi jeszcze. Spogląda na zegarek. Dziewięć. Tak długo?

Jerzy, Jerzy – powtarza w myślach. Wczoraj dzwoniła Karolina. Jak zawsze późno.

Wie, że do mamy można. Wyjeżdża do Chorwacji. Ciągłe w biegu, w pracy, w domu. Zawsze coś. Wreszcie odpocznie, myśli, ale nie mówi. Karolina reaguje alergicznie na jej uwagi, rady. Nawet długo rozmawiały. Już kończyły, gdy matka napomknęła, niby przypadkiem:

– Nie zapytasz, gdzie się wybieram na wakacje?

– A wybierasz się?

– Czy uważasz, że jestem przywiązana do domu jak wiejski pies do budy? – zaczęła czupurnie, może nazbyt, pomyślała po chwili, lecz było już za późno. W słuchawce milczenie. – Jesteś tam? – spytała.

– Jestem... jestem – zabrzmiało głucho, bez wcześniejszej wesołości. – W ubiegłym roku zapytałam, też nie było dobrze. „Gdzie ja się mogę ruszyć?” – powiedziałaś. Więc gdzie się wybierasz?  
– Do Johana, wspominałam ci, że go spotkałam. Ma ładny domek letniskowy nad jeziorem.  
– A co z tatą?! – zabrzmiało jak nagana. Właśnie. „Co z tatą?” Sama chciałyby wiedzieć.  
– Opiekuję się nim. Nic mu więcej nie potrzeba, prócz opieki. Opieki i życzliwości. Ja mam dopiero czterdzieści osiem lat... – urywa, bo czuje, że zaczyna się tłumaczyć. Jest zła na siebie.

Jak mogła?! Hanka odkłada słuchawkę i siada przybita. Cała Karolina. Użądli boleśnie, zienacka, patrząc w oczy. Będzie udzielać rad. To ona, nie córka, ma już „z górki”. Przecież wie, że przed trzema laty, kiedy Jerzy opuścił szpital, zmieniła całe swoje życie. Przy granicy zatrudniła dwie osoby, sama zajęła się nim. Szukała dojsć, kontaktów, koperta tu, koperta tam. Teczka z wynikami pod pachą i od jednych drzwi do drugich. Lekarze czytają i kręcą głowami. Nie jest dobrze. Mówią, że źle. Jednak zawsze pozostawiają cię nadziei. Ona chwytą się go i nie poddaje. Ściąga najlepsze leki, cena nie gra roli. Nieustannie rosnące konto teraz topnieje z każdą wizytą, z każdą wypisaną receptą. Nie zważa jednak na nic. Tworzy domową apteczkę, tylko dla Jerzego. W niej specjalny notatnik z precyzyjnie określonymi nazwami i dawkami leków, i nazwiskami lekarzy je przepisyujących. I trzykrotnie w ciągu dnia rytuał ich podawania. Jerzy kaprysi, buntuje się. W kalendarzu zaplanowane na rok terminy pobytu w sanatoriach, szpitalu; rehabilitacje, rehabilitacje... I żadnej nadziei na lepsze. Brakuje jej ojca. On zawsze wysłuchał, poradził. Powiedział kilka ciepłych słów. Jeździ na wiejski cmentarz, niedaleko, może dwadzieścia kilometrów. Zapala znicz, patrzy na fotografię. Miał tyle lat, co ona teraz. Oblicza w pamięci nawet mniej, poprawia w myślach. Wyrzuca z siebie rozpacz i żal. Dlaczego ja? Dlaczego mnie to spotkało? Słyszysz, jest przekonana, głos z głębi: „Masz tyle siły, dasz radę”. I wierzy w to – tu na cmentarzu, nie w kościele, do którego nie chodzi.

Telefon od córki irytuje ją jeszcze następnego dnia. Rozmawia z przyjaciółką.

– Nad czym ty się zastanawiasz? – mówi bez namysłu Jolka, przyjaciółka z bazaru, kiedy słyszy o propozycji Johana. – Że nie jesteś wolna? Że zobowiązania? No i co z tego? Tak. Formalnie jesteś mężatką. Pieresz męskie gacie, koszule, skarpety, które śmierzdzą męskim potem. I jeszcze gotujesz – wyrzuca jednym tchem niczym zagorzała feministka. – Ale śpisz sama w zimnym łóżku, może zapomniałaś już, jak to się robi, jak to kręci, jak krew szybciej krąży? – uśmiecha się rozpustnie. – Nad czym się zastanawiasz? – powtarza. – Drugi raz, być może, „nie zaproszą nas wcale”. Nawet gdyby tylko na tym wyjeździe miało się skończyć... Załatwisz jakąś opiekunkę. Odpoczniesz od tego kieratu. A on, no, ten Niemiec – puszcza oko, uśmiecha się – jeszcze krzepki facet i całkiem do rzeczy – znowu ten sugestywny uśmiech – będziesz zadowolona.

Przyjaciółka, powierniczka jej dylematów i sekretów – „budę” ma po przeciwnej stronie alejki – jest wtajemniczona w domowe sprawy Hanki. Podziwia jej sprawność, kiedy tamta obskakuje klientów zza Nysy. Przejdą most i wpadają w jej ramiona, jakby tylko ona handlowała. Spojrzy na gościa i już zna rozmiar koszuli dla niego, i podaje kilka. Obraca nim jak manekinem to w lewo, to w prawo. Podstawia lustro. Klient krzywi się. Nie ma sprawy, podaje dwie następne z tym samym, przyklejonym tylko dla nich, uśmiechem. Dobracz koszule to nie wszystko. Tak łatwo jej się nie wymysknie. Jeszcze krawat. Podsuwa pod oczy wachlarz w kolorach tęczy. Oczywiście brak zdecydowania. Spogląda na koszulę, na wachlarz, zdecydowanym ruchem wyjmując właściwy, według niej. Zanim gość się zorientuje, kolorowa taśma wisi na jego szyi. Ona patrzy mu w oczy, szczerzy te swoje ładne zęby i wiąże główkę. Zgrabnie wsuwa taśmę pod kołnierzyk i formuje pod szyją. Dobre perfumy drażnią jego nozdrza. Jest zadowolony. Ale to nie wszystko. Jeszcze pasek. Skórzany. A skarpety? Nauczyła się i szprecha z nimi po ichniemu. Śmieją się, klepią po ramionach, zadowolone są towarzyszące im żony. Udane zakupy. Ona pakuje do reklamówki. Już są następni... Marki spływają strumieniem do szaszetki przytroczonej do pasa.

Odwiedza ojca.

– Dałam radę – mówi półgłosem – szkoda, że nie możesz zobaczyć naszego domu. Jest duży, ładny. Tobie też by się podobał. Tak myślę – dzieli się radościami od samego początku. Od ślubu. Nie zapomina o urodzinach dziewczynek, chrzcinach, komunii. O szkole jednej, drugiej. Spieszy z wiadomością o zdanej maturze, o przyjęciu na studia. Ojciec jest informowany na bieżąco.

Z Jerzym widzą się wieczorem, w domu. On ciągle w drodze. Od jednego producenta do drugiego... Już niedługo to oni, na telefon, będą dostarczać towar. A on? On zacznie zaglądać do kieliszka. Kompanów sporo, bo pełny portfel wypycha tylną kieszeń w spodniach. Ściąga wzrok złodziei i amatorów darmowego napitku. Knajpy zmienia jak skarpetki... może i częściej. Ma szybki samochód. Są i dziewczyny – te łatwe. Jest ich dużo. Śniade, w kusych spódnicach, przy drodze do granicy – bo na inne Jerzy nie ma czasu, za dużo zachodu. Zobowiązania. A tych nie potrzebuje. Świat należy do niego, bynajmniej ten przygraniczny. Chłonie życie, tak mu się wydaje, garściami.

Hanka jest w swoim żywiole, jakby nic innego w życiu nie robiła. Trudniej jest zimą. Śnieg. Zasy. Mróz. Lecz nie narzeka. Saszetka z markami pęcynieje i w zimie. Grzejnik przy nogach, gorąca herbata, wzmocniona. Dzień w dzień, od listopada do lutego. Asortyment wzbogaca o kurtki, czapki, koszule z flaneli. Pewnego dnia pomaga klientowi zapiąć kurtkę: guziki duże czy małe dziurki, nie może sobie poradzić. Przykucnęła. Podnosi się, przypadkiem jej dłoń dotyka ciepłej dłoni mężczyzny i wpada w szaro-błękitną toń wpatrzonych w nią oczu. Jakby znajomych. Niezrozumiałe ciepło podąża od nóg w górę, po chwili pieką policzki. Cofa się pół kroku. Przygląda uważnie czerstwej, zadbanej twarzy. On stoi skonfundowany. Tak. Hanka już jest prawie pewna. Prawie.

– Johan? – mówi i czeka w niepewności na reakcję.

Mężczyzna mruży oczy. Patrzy uważnie.

– Hanna? – Zbliża się do niej. Wpadają sobie w ramiona.

I wszystko staje się nagle bliskie. Tamte wakacje w domu rodziców, nad graniczną rzeką. Po sąsiedzku mieszkała Berta. „Autochtonka” – mówili wszyscy. Hanka bawiła się z Ulą, jej córką. Nie wiedziała, dlaczego we wsi tylko jej mamę nazywają „autochtonką”. Trochę niewyraźnie mówiła, ale rodzice Hanki i inni we wsi też mówili inaczej niż pani w szkole. Ot, ludzie ze wsi – myślała z początku, potem już się nie zastanawiała, a może tamta nabrała wprawy i mówiła tak samo jak inni? Któregoś dnia na podwórze autochtonki zajechał szary, duży, zagraniczny samochód. Wieść, że do Berty rodzina z NRF-u przyjechała, szybko rozniosła się po wsi. Co bardziej ciekawscy znaleźli powód, by przyjść do sklepu – był w pobliżu, po drugiej stronie drogi – zajrzeć na podwórze, zagadać, spytać. Zaspokoić ciekawość. Przez pierwsze dni było to wydarzenie, o którym wszyscy mówili. Potem, jak inne, spowszedniało na tyle, że ciekawscy stali się mniej natarczywi.

Została wtajemniczona jako jedna z pierwszych i to od razu u źródła. Koleżanka zapoznaje ją z jej kuzynem, Johanem.

– Po naszymu Janek – dodaje, widząc, że Hance imię to nie przypadło do gustu.

– Hanna – mówi nieśmiało, podając dłoń trochę starszemu od niej chłopakowi.

Od tej pory jest częstym gościem u sąsiadów. Porozumiewa się nieporadnie. Ze szkoły pamięta pojedyncze wyrazy i trochę zwrotów. W trójkę kąpią się w rzece, spacerują trawiastym brzegiem. Rozmawiają najczęściej o szkole. Janek, tak do niego się zwraca, mieszka w mieście; opowiada jak jest u nich. Ona słucha z otwartymi ustami. Gdy mijają ich żołnierze z paskiem pod brodą i karabinami na plecach, milkną, na wszelki wypadek. Wakacje się kończą i Johan wyjeżdża.

Ulka spostrzega, że koleżanka stała się z dnia na dzień, mało rozmowna, zamknięta w sobie.

– Ty się pewnie zakochałaś – ni to stwierdza, ni pyta któregoś razu, gdy są same na tym samym kawałku plaży.

Hanka spłonęła rumieńcem. Nieporadnie usiłowała zaprzeczać, lecz koleżanka nie dała się zwieść.

Listy krążą w obie strony. Hanka gromadzi je w kartoniku po czekoladkach, które dostała na pożegnanie. Píše wieczorami, ze słownikiem pod ręką, zarywa noce – nikt wtedy nie przeszkadza, nie pyta, choć i tak wszyscy wiedzą.

Johan przyjeżdża w kolejne wakacje. Prawie się nie rozstają, zawsze razem. I Ulka nie zawsze jest im potrzebna. Rodzice to widzą. Matka się martwi. Żeby tylko szkoły nie zawałiła. Ojciec bardziej ufa córce. Jest przekonany, że da radę. Mówi, że choć niemieckiego się nauczy. Myśli inaczej: że może ich córce pisany jest inny świat. Niechby. Mamie nie podoba się ten Johan. Wyszukuje jakichś felerów. A to taki chudy, a to że włosy ma trochę rude, w końcu że tam, w tych Niemczech, to takich jak Hanka, to on ma... – zawieszła głos – jak snopków w polu. Znalazłaby sobie tutaj chłopaka. Ot, choćby Jurek, robi w mieście, motor kupił, przyjeżdża raz po raz, niby do starszego syna, a coraz częściej w jej stronę spogląda. Hanka swoje wie. Ona też będzie w mieście. Myśli o studiach, takich Jurków, wyrывa się jej pewnego razu, to ona może mieć... ilu zechce – tylko po co? – No, no, żebyś nie zgrzeszyła pychą – przepowiada babka. – Żadnego możesz w końcu nie mieć.

To były ostatnie wakacje z Johanem. Jeszcze piszą do siebie, lecz coraz rzadziej przychodzi listonosz. Potem Hanka zawiąże czerwoną wstążką listy, upcha jakoś w ten kartonik po czekoladkach i schowa do kanapy, na której śpi. Później przeniesie na strych. Aż o nich z czasem zapomni, kiedy wyjedzie na stałe do miasta.

Piją kawę. Ustępuje początkowe onieśmienie, odkrywają siebie, lecz ta dawna bliskość i to dawne zrozumienie jest jednak odległe, zbyt odległe, by je pokonać w kilka spotkań. Hanka nie chce się przyznać przed sobą, że oczekuje tych niedziel i jego wizyt czy odwiedzin – jakkolwiek by to zwął. Zapomina wtedy o pustym domu – Karolina i Magda są już poza – domu, którego nie ma kto i dla kogo sprzątać. O awanturach. O nocnych powrotach Jerzego. Zamroczony, ledwo się trzyma na nogach, gdy wysiada z samochodu. Ona musi na to patrzeć. Dobrze, że dziewczyny nie widzą. Różnie bywało. Nawet i burzliwie. Wybaczała. Starła się zapomnieć – nie potrafiła. Teraz jakby zbliżał się koniec. Tylko jaki? Jaki koniec? Gdy się tak napatrzy, naawanturuje – wciągnięta w utarczki słowne, wyprowadzona z równowagi – nie może spać. Drży na widok radiowozu i sygnału karetki. W soboty przychodziła pomoc. Sprzątała cały dom. Ale jej wymówiła. Żał było kobiety. Dorobiła sobie. Dlatego zapłaciła jej miesiąc z góry. Więcej nie mogła dla niej nic zrobić. Obiecała, że będzie o niej pamiętać. Nie chciała, żeby ktoś obcy widział bałagan, złachane ubrania rozrzucone po kątach, puste butelki – jego.. a i jej też by się znalazły – za kanapami, komodą.

Znowu w domu wraca wszystko na swoje miejsce, z wyjątkiem Jerzego. On ciągle jest gościem.

Ojcu nie mówi o Johanie. W tamte wakacje, pamięta, on nie był, w przeciwieństwie do matki, niechętny ich znajomości. Ale to już tyle lat. Może miał jakieś plany z nim związane? Teraz to już dojrzały mężczyzna, pewnie ma rodzinę, ona też... Jednak czuje, jakby ojca oszukiwała.

Niedziele są takim miłym przerywnikiem między tygodniami. Johan przyjeżdża co tydzień, kupuje koszule, skarpetki, paski, krawaty.

– Co robisz z tyloma koszulami? – śmieje się Hanka.

– Raz w miesiącu chodzę do pralni. Potrzebuję trzydzieści – żartuje.

– Nie masz nikogo, kto by ci robił pranie?... I nie tylko – pozwala sobie na dwuznaczność. Znają się, już można, dołącza uśmiech, że niby to żart. Tak naprawdę, to jest ciekawa odpowiedzi. Wpatruje się w niego. Widzi spływające z twarzy rozbawienie.

– Nie mam – mówi ze spokojem. – W ubiegłym roku, przed świętami, żona odeszła. – Hanka czuje, jak uśmiech jej gaśnie. Brak słów. Chce zapytać: „Jak to, odeszła?”. Johan ją wyręcza. – Na zawsze – znacząco spoglądając w błękit.

Ona go przeprosza. Za niezręczność. Za ciekawość. Nie wiedziała. Wracają do poprzedniej rozmowy, lecz już nie do beztroskich żartów. Nie teraz.

Innym razem rozmawiają o korespondencji. Tej sprzed lat, niespodziewanie przerwanej. Bez żadnych wyjaśnień. Robi się sentymentalnie. Jednak to już nie ma żadnego znaczenia. „Rozbitego lustra nie da się skleić”. A gdyby nawet jakimś sposobem się udało, gdy w nie spojrzeć – widzi się już kogo innego. Nie ma ich – tamtych. Są tu i teraz, za dorosli, za dojrzały, oni, którym – są przekonani, każde z osobna – wszystko już wymyka się z rąk.

Wtedy, gdy listy ze znaczkiem Schillera i Adenauera na kopercie, spięte czerwoną tasiemką i wciśnięte w kartonik, aż pękaty od ich nadmiaru, jeszcze nie spoczęły w kanapie. Gdy pamięć jeszcze nie ostygła, szarość wokół zdawała się coraz większa.

Jerzy czekał. Śmiałej zbliża się do Hanki. Zabiera ją na zabawy. We wsi tylko on ma motor z białymi siodełkami z dermy. Niemiecki. To nic, że z tych bliższych Niemiec – zawsze to zagraniczny. Ona się pogodziła, a może chciała zapomnieć? I Johana, i ojca. Nie ma ich obu, choć każdego inaczej. Matura. Zdaje egzamin na studia, polonistykę. Będzie nauczycielką. Cieszy się, a Jerzy się boi, że ona już nie wróci. A nawet jeśli... to na niego nie spojrzysz. Chodzą ze sobą. Dla nikogo nie jest to już tajemnicą. Koniec wrześnie. Hanka przygotowuje się do wyjazdu, ma miejsce w akademiku. Pewnego dnia, po obiedzie wstając od stołu, mdleje. Napędza wszystkim strachu. Nic się nie stało. W tajemnicy przed matką jedzie do lekarza. Niestety, cięża, Niedoszłe koleżanki studentki zaliczają pierwszą sesję egzaminacyjną. Ją Jerzy wiezie na porodówkę do miejskiego szpitala.

Myśli kłębią się w głowie. Tamten Jerzy – daleki, obcy, trudno uwierzyć, że kiedykolwiek istniał, i ten – fizycznie bliski, lecz nieobecny. Zamknięty w swoim świecie; posłuszny i obojętny. Trudno się dziwić. Aplikowane leki robią swoje – Hanka znowu wpada w myślowe tory do nikąd. Jeździ z nim wszędzie, jest przy nim, wraca z nim do domu. Nawet jej nie podziękuje, czasami się uśmiechnie. Ona nie wie, co jest powodem tej radości. Nie rozumie, co się wokół niego dzieje. Przyszedł jego bliski kolega, a on woła od drzwi, że to jakiś pan do niej. Nie poznaje swojej siostry ani brata. Dopiero jak trochę się oswoi z ich widokiem. Córki chyba pamięta, lecz z czasu, gdy mieszkali jeszcze na wsi u jej rodziców. Jednym razem nie chce opuścić swojego pokoju, siedzi zapatrzony w jakiś, jemu tylko wiadomy, a może i nie, punkt na ścianie. Innym – chodzi za nią krok w krok. Gdzie ona, tam i on: w ogrodzie, w pokoju, w kuchni podczas gotowania obiadu, nawet do toalety usiłuje za nią wejść. Wtedy jest zazdrosny. Pamięta, wziął ją kiedyś za rękę, idąc przodem, zaprowadził do salonu, posadził na kanapie, sam usiadł w fotelu. Patrząc naiwnymi oczami chłopca, zapytał, kiedy będzie mógł z nią spać. Była zaskoczona. Potrzebował jej bliskości czy czegoś więcej? Wiedziała, że on tego nie powie. Położyła dłonie na jego kolanach i głęboko spojrzała mu w oczy.

– Bierzesz lekarstwa, jesteś chory. Kiedy wyzdrowiejesz, to będziesz mógł ze mną spać.

Myśli.

– A skąd będę wiedział, że jestem już zdrowy? – pyta rzeczowo.

– Pójdziemy do lekarza, on cię zbada i wtedy będzie wiedział, czy jesteś zdrowy. I dopiero wtedy. Rozumiesz?

Jerzy zatrwożył się. Jakie myśli błędzą w jego głowie? Czy może zrozumieć? Kto może to wiedzieć?

Zaskakiwał ją od samego początku. Od kiedy się nim opiekuje, od powrotu do domu. Skończyły się sanatoria, pobyty w szpitalu, rehabilitacja. Starciła nadzieję, że będzie lepiej. Oby nie było gorzej! Pogodziła się. Oby nie było gorzej. Wszystko na jej głowie. Jego konto zablokowane. Należność z ubezpieczenia samochodu. Bariera nie do pokonania – podpis ubezpieczonego. Jak?! On nie rozumie, co to znaczy się podpisać. Pyta prawników. Jedyna możliwość – ubezpieczycielowi. Nie może pojąć. To przecież okrutne. Potwierdzenie na papierze, że tak naprawdę to go nie będzie. Mijają dni. Rozmawia z córkami. Rozumieją. Tak trzeba. Wcześniej przygotowuje Jerzego. Tłumaczy mu. Jak małego chłopcu. Że pójdzie z nim do takich panów. Ładnie ubranych, będą siedzieć za takim dużym stołem... – ręce jej

pracują, pokazuje, kreśli w powietrzu jakieś figury – zapytają go, jak się nazywa, gdzie mieszka, ile ma lat. Jerzy patrzy i potakuje. Hanka nie wie, czy rozumie. Ma tylko nadzieję.

Są w sądzie. On się rozgląda. Ona niepokoi się, co Jerzy powie i jak. Niepotrzebnie. On odpowiada jak grzeczny chłopiec; spokojnie, powoli. Z boku wygląda to nawet śmiesznie. Tak myśli Hanka. Teraz kolej na nią. Standardowo: imię, nazwisko, wiek... Gdy mówi, że ma czterdzieści osiem lat, Jerzy, stojący spokojnie obok, nagle odzywa się podniesionym głosem, nie kryje zaskoczenia:

– To ty masz tyle lat? Ja myślałam, że chodzisz jeszcze do szkoły.

Śmiech. Hanka nawet nie usiłuje ukryć rozbawienia, sędziowie zasłaniają dłońmi usta, ale widać ich śmiejące się oczy. Jerzy przygląda się zdumiony.

Dzwoni telefon. Spogląda na zegarek. Boże! Ta godzina. Co z Jerzym? Bierze słuchawkę i idzie po schodach do jego pokoju. Słyszy głos córki. Przeprasza ją za wczorajsze słowa. Za późno. Są już przetworzone na stres, żal, wspomnienia. Hanka przez uchylone drzwi, bez zamka i klamki, zagląda do środka. Jerzy jeszcze w łóżku, choć nie śpi. Patrzy w sufit. Ona nie wie, czy ją widzi. Matka Jerzego krząta się w łazience. Tak, opiekuje się i jego matką. „Ta niedobra synowa”, słyszała nieraz. Z tą opieką to niedostównie, bo choć dobiega dziewięćdziesiątka, jest sprawna. „Na chodzie” – jak mówią znajomi. Hanka siada w korytarzu na chodniku i opiera się o ścianę.

– Już dobrze, dobrze – uspokaja córkę. – Przecież wiesz, że zrobię tak, jak będę uważała. Ale dziękuję za ciepłe słowa. – Wchodzi do pokoju. – Dlaczego nie wstajesz? – Żadnej reakcji. Jerzy patrzy niewidzącym wzrokiem, gdzieś obok, poza nią. Ona rozpoznaje takie zachowanie. Jest niezadowolony. Buntuje się. Wczoraj mówiła mu o swoim wyjeździe. Kiwnął głową, że tak, że zostanie z mamą. Zmarkotniał. Jakby pod przymusem się zgodził. Może potem przemyślał? Albo coś mu się śniło? Skąd może wiedzieć? Siada na brzegu łóżka, bierze jego dłoń, głaszcze, mówi ciepłym głosem. O opiekunce. Chyba nie rozumie. Mówi, że pani do niego dzisiaj przyjdzie. Skutkuje. Wstaje. Ona pomaga mu się ubrać i umyć. Przygotowuje śniadanie. Bierze tackę z przegródkami, wąską a długą. Dwadzieścia jeden dokładnie. Z jednego boku jest ich trzy (jak posiłków – śniadanie, obiad, kolacja), z drugiej siedem (jak dni tygodnia). W każdym kwadracie jednorazowa dawka leków. Przygotowuje na cały tydzień według recept, zawsze w niedzielę po południu, gdy Jerzy ucina sobie drzemkę, lub wieczorem, gdy już śpi. Rozkłada je na stole, czyta uważnie, potem wycina z listków – z buteleczek nie wyjmuje, dopiero tuż przed podaniem – pojedyncze draże i wkłada do odpowiedniej przegródki. Gdy skończy, zatraskuje na pudełku plastikową przykrywkę, umieszcza w apteczce i zamyka na klucz. Wiesza go z tyłu szafki. Sięga tam ręką na wyczucie. Dzisiaj po obiedzie, zanim jeszcze przyjdzie siostra PCK, przygotowuje na kolejny tydzień.

Jerzy, trzymając się poręczy, ostrożnie schodzi po schodach. W przedpokoju zatrzymuje się przy rozbebeszonej torbie. Ona widzi jego zdziwione spojrzenie.

– To mój bagaż. Mówiłam ci wczoraj, że wyjeżdżam na kilka dni.

On usiłuje sobie przypomnieć. Spogląda to na Hanke, to na jej bagaż. A co z nim?! Nie chce. Nie zgadza się. Wymachuje rękami. Krzyczy. Ona do niego podchodzi. Ostrożnie. Na odległość wyciągniętych rąk. Widzi w jego oczach błyski. Zbliża się. Tuli go do siebie. I zaczyna od początku. Mama z nim będzie i pani, która zaraz przyjdzie... Tłumaczy, że wszystko będzie dobrze, że szybko do niego wróci. Daje się obłaskawić.

Może dokończyć pakowanie. Jerzy wychodzi do ogrodu. Dookoła siatka, zamknięta bramka – jest bezpieczny. Nawet pies, stara Aza, ma swoje ogrodzenie. Zastanawia się, co zabrać. Strój kąpielowy, tak, na pewno, ręczniki, kosmetyki. I żeby kremów z filtrami nie zapomnieć. Jakąś kurtkę ciepłą – pogoda taka zmienna. Wyjmuje z szafy sukienkę. Jedną. Drugą. Ogląda. Pakuje obie. Po chwili dokłada kolejną. Przecież gdzieś wyjdą, na spacer, do kawiarni. Wybiera buty. Z tym idzie jej łatwiej. Chce wyglądać jak

kobieta. Nic więcej. Wyciąga szufladę z komody. Przegląda zawartość, choć zna ją na pamięć. Wsuwa dlonie w jedwabie. Szeleszczą te nierozpakowane, zakupione ostatnio, na ten właśnie wyjazd.

– Kup sexy bieliznę, pamiętaj – podpowiadała przyjaciółka. Spłonęła nawet rumieńcem, jakby przygotowywała się na „pierwszy raz”. Tłumaczyła jej, że to zbędne. – Kto to wie? Kto wie, moja droga? Kobieta wolna zawsze powinna być gotowa. Zawsze.

Kupiła. Teraz nowe wątpliwości. Zastanawia się, przegląda. Może te czerwone z falbankami, może czarne, skromniejsze...? Bierze kilka kompletów.

Dzwoni Jolka. Sprawdza, czy Hanka się nie rozmyśliła. Od początku ją namawiała. Obiecuje, że zajrzy do domu, podczas jej nieobecności. Jakby co, pomoże. Będzie pod telefonem.

Jest i opiekunka. Bożena – przedstawia się. Hanka widzi ją pierwszy raz. Całkiem atrakcyjna czterdziestka, ocenia szybko. Nie wygląda na siostrę miłosierdzia (w okularach ze szklami jak denka butelek), której obraz – nie wie, dlaczego taki – tkwi w jej pamięci. Wchodzi Jerzy. Przywołuje go do siebie. Obejmuje po przyjacielsku ramieniem.

– Pani będzie się tobą opiekować.

On ocenia ją po męsku, uśmiecha się.

– Piękna paani – przeciąga słowa. – Z wesołością w oczach spoglądają na siebie, czują się zakłopotane.

Hanka oprowadza przybyłą do domu. Wchodzą na piętro, otwiera każdy pokój, łazienkę.

– Oddaję pani swoją sypialnię. Pościel wymieniam. – Podaje jej klucz. – Będzie się pani zamykać. Też tak robiłam... Żeby nikt nie zakłócał spokoju. W drzwiach do sypialni Jerzego nie ma zamka. Tylko uchwyt i zatrzask. – Chodzą, a Hanka opowiada, tłumaczy. – Najważniejsza sprawa, leki. – Pokazuje przygotowany na najbliższy tydzień ich zestaw. I kartkę z rozpisаныmi dawkami na pozostałe trzy dni jej nieobecności. Zapewnia, że Jerzy jest spokojny i zachowuje się poprawnie. – Jeśli ma lekarstwa – dodaje. – To bardzo ważne. Babcia będzie gotować obiady – kieruje spojrzenie na filigranową, z krótkimi, siwymi włosami, staruszkę. Ona słyszy, słuch ma dobry, że o niej mówią, uśmiecha się bezzębnymi ustami. Przechodzą do ogrodu. Jerzy za nimi. Przy warzywniku wyprzedza je.

– Widzi pani – wyciągniętą ręką wskazuje warzywa – mamy wszystko: buraki, marchew, pietruszkę, sałatę, cebule... – Zachłystuje się ich dorodnością. – Nawet kalafior. I do sklepu nie musimy chodzić. Mamy wszystko, co potrzeba. Prawda Hanka? – szuka potwierdzenia. Pani Bożena wyraża swoje uznanie. Pyta, kto tutaj pracuje.

– To wszystko Hanka... – oczy mu błyszczą. – Ona to potrafi – podsumowuje. Wracają. Przy samochodzie zmienia temat. – Wie pani, że mamy dwa samochody. Jeden jeszcze w garażu – wskazuje zamkniętą bramę. – Hanka, a jak się nazywają?

– Jerzy, daj pani spokój. – A do kobiety: – On, gdy kogoś widzi pierwszy raz, zawsze staje się męczący. Ale tylko na początku – uspokaja. Dzwoni telefon. Spogląda na wyświetlacz. Tak myślała. To Johan. Pyta, kiedy wyjedzie. Ona zapewnia, że w przeciągu godziny. Gdy potem wynosi bagaże do samochodu, Jerzy znowu jest zaniepokojony. Ma strach w oczach.

– Gdzie ty jedziesz? – pyta drżącym głosem, z niepokojem. Znowu mu tłumaczy. On słucha z uwagą. Lecz strach nie znika.

– Za kilka dni do ciebie przyjadę – zapewnia kolejny raz. – Przez ten czas będziesz z panią.

– Tylko przyjedź – mówi cicho i kieruje spojrzenie na nieznaną. Wykonuje krok w jej stronę. – Piękna paani będzie ze mną?

sierpień 2010

(Opowiadanie uhonorowane II nagrodą w XI Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i narodów”.)